

Położyć kres terroryzmowi

16 sierpnia 2015

Zamachy w Tunisie i Sanie przypominały, że najboleśniej dotknięte przemocą uderzającą w ludność cywilną są kraje muzułmańskie. Walka z „terroryzmem” pozwala mobilizować opinię, zawiązywać koalicje wojskowe i wprowadzać prawa ograniczające wolność obywatelską. Jednak czy koncentrowanie się na tym niezwykle wygodnym przeciwniku pozwala rzeczywiście stawić czoło realiom politycznym Bliskiego Wschodu?

To była homerycka bitwa, relacjonowana szczegółowo przez media całego świata. Organizacja Państwo Islamskie (OPI), która w czerwcu 2014 r. zajęła Mosul, rozpoczęła błyskawiczną ofensywę w kierunku Bagdadu oraz tureckiej granicy, zajęła również 80% miasta Kobane w Syrii. Przez wiele miesięcy trwały zaciekle walki. Miejscowe milicje kurdyjskie, wspomagane przez amerykańskie lotnictwo, otrzymywały od regionalnych władz irackiego Kurdystanu broń i wsparcie pod postacią około 150 żołnierzy. Obserwowane na bieżąco przez zachodnie telewizje walki zakończyły się na początku 2015 r. wycofaniem OPI.

Jednakże kim są owi bohaterscy bojownicy, którzy ucięli jedną z głów terrorystycznej hydry? Określani ogólnym mianem „Kurdów”, należą w większości do Demokratycznej Partii Jedności (PYD), syryjskiego odłamu Partii Pracujących Kurdystanu (PKK). Tego samego PKK, które od ponad 10 lat figuruje na listach organizacji terrorystycznych sporządzonych zarówno przez Stany Zjednoczone, jak i Unię Europejską. I tak w Paryżu można zostać skazanym za „sprzyjanie terroryzmowi”, jeśli opublikuje się przychylną PKK opinię, jednakże bojownicy organizacji w Kobane zasługują na najwyższy podziw. Kto by się temu dziwił w czasie, gdy Waszyngton negocjuje z Teheranem epokowe porozumienie w sprawie programu nuklearnego, a dyrektor amerykańskich służb wywiadowczych przedkłada Senatowi raport, w którym Iran i Hezbollah nie są już określane jako organizmy terrorystyczne, które zagrażają interesom Stanów

Zjednoczonych [1]?

NASI TERRORYŚCI CZYLI BOJOWNICY WOLNOŚCI

Tamto lato było wyjątkowo niespokojne. W Hajfie zamachowiec podłożył 6 lipca bombę na miejskim targu, zginęły 23 osoby, a rannych zostało 75, ofiarami były w większości kobiety i dzieci. 15 lipca w przeprowadzonym w Jerozolimie ataku zginęło 10 osób, a 29 odniosło rany. Dziesięć dni później doszło do eksplozji kolejnej bomby w Hajfie, w której zginęło 39 osób. Wszystkie ofiary to arabscy cywile. W Palestynie 1938 r. odpowiedzialność za te ataki wziął na siebie Irgun, zbrojne ramię rewizjonistycznego skrzydła ruchu syjonistycznego, z którego szeregów wywodzili się dwaj izraelscy premierzy: Menahem Begin i Icchak Szamir [2].

Członkowie ruchu oporu? Bojownicy o wolność? Przestępcy? Barbarzyńcy? Wiemy doskonale, że określenie „terrorysta” bywa zawsze przypisywane Innemu, nigdy „naszym” bojownikom. Historia pokazała, że wczorajsi terroryści mogą stać się jutro przywódcami. To dziwne? Terroryzm może być definiowany – przykłady PKK i ugrupowań syjonistycznych doskonale ilustrują dwuznaczność tego konceptu – jako forma działania, nie zaś ideologia. Nic nie łączy skrajnie prawicowych ugrupowań włoskich z lat 70. ubiegłego wieku, Tamiłskich Tygrysów, Irlandzkiej Armii Republikańskiej (Irish Republican Army, IRA), nie mówiąc już o Organizacji Wyzwolenia Palestyny (OWP) czy Afrykańskim Kongresie Narodowym (African National Congress, ANC), zresztą obu uznanym za „terrorystyczne” przez Ronalda Reagana, Margaret Thatcher i oczywiście Benjamina Netanjahu, którego państwo ściśle współpracowało z Republiką Południowej Afryki z czasów apartheidu [3].

Terroryzm można umieścić na liście sposobów prowadzenia walki zbrojnej. Jak często się o nim mówi, jest on bronią słabych. Wybitny przywódca algierskiej rewolucji, dowódca autonomicznego regionu Algieru Larbi Ben Mhidi zatrzymany przez francuskich żołnierzy w 1957 r. był wypytywany o to,

dłaczego Front Wyzwolenia Narodowego (Front de libération nationale, FLN) podkładał ukryte w koszykach bomby w restauracjach czy innych miejscach publicznych. „Dajcie nam wasze samoloty, a my oddamy wam nasze koszyki” odpowiedział torturującym go agentom, którzy kilka dni później zamordowali go z zimną krwią. Dysproporcja posiadanych środków między partyzantami a regularną armią pociąga za sobą dysproporcję w liczbie ofiar. Jeżeli Hamas i jego sprzymierzeńcy powinni być uznawani za „terrorystów”, ponieważ w czasie wojny w Strefie Gazy w lecie 2014 r. zabili 3 cywilów, to jak określić Państwo Izrael, które zabiło – i to według najostrożniejszych szacunków, tych ogłoszonych przez izraelską armię – od 800 do 1000 osób, w tym kilkaset dzieci?

Pomijając już jej nieokreślony i rozmyty charakter, użycie koncepcji terroryzmu odpolitycznia analizę, przez co uniemożliwia jakiegokolwiek zrozumienie poruszanego problemu. Walczymy przeciwko Złu, twierdził 24 września 2001 r. w amerykańskim Kongresie George W. Bush, dodając: „Nienawidzą tego, co symbolizuje to zgromadzenie – demokratycznie wybranego rządu. Ich przywódcy mianują się sami. Nienawidzą naszych wolności: wolności wyznania, wolności słowa, wolności głosowania i zgromadzeń czy prawa do posiadania innego zdania niż wszyscy”. A zatem, aby stawić czoła terroryzmowi, nie trzeba zmiany amerykańskiej polityki w regionie czy położenia kresu cierpieniom Palestyńczyków – jedynym rozwiązaniem ma być fizyczna eliminacja Barbarzyńcy. Jeżeli bracia Kouachi i Amedy Coulibaly, autorzy zamachów na Charlie Hebdo oraz Hyper Cacher w Porte de Vincennes, kierowali się wyłącznie nienawiścią do wolności słowa – jak ogłosili główni francuscy przywódcy polityczni – nie ma powodu, by zastanawiać się nad konsekwencjami polityki prowadzonej w Libii, Mali i w strefie Sahelu. Tego samego dnia, gdy Zgromadzenie Narodowe uczciło ofiary styczniowych zamachów, zdecydowało ono o kontynuowaniu francuskich operacji wojskowych w Iraku.

BILANS NIEOGRANICZONEJ WOJNY Z TERRORYZMEM

Czy nie nadeszła pora, by sporządzić bilans owej trwającej od 2001 r. „wojny z terroryzmem” pod kątem głoszonych przez jej autorów celów? Według Global Terrorism Database Uniwersytetu Maryland, al-Kaida i jej filie przeprowadzały w okresie od 2007 do 2010 r. około 200 zamachów rocznie. W 2013 r., z 600 zamachami, liczba ta wzrosła o 300%. Liczba z 2014 r., po ogłoszeniu kalifatu przez Abu Bakra al-Bagdadię, bez wątpienia pobije wszelkie rekordy [4]. A jak mają się sprawy w odniesieniu do liczby terrorystów? Według zachodnich danych szacunkowych szeregi OPI i innych ekstremistycznych organizacji w Syrii i Iraku zasiliło 20 tys. zagranicznych bojowników, z czego 3 400 to Europejczycy. „Szef amerykańskiego Narodowego Centrum Kontrterroryzmu Nic Ramussen potwierdził, że napływ zagranicznych bojowników do Syrii znacznie przekroczył liczbę tych, którzy wyjechali, by prowadzić dżihad w Afganistanie, Pakistanie, Iraku, Jemenie czy Somalii w jakimkolwiek momencie ostatnich dwóch dekad” [5].

Bilans „wojny z terroryzmem” byłby niepełny, gdyby nie uwzględniał geopolitycznych i humanitarnych katastrof. Od 2001 r. Stany Zjednoczone, niekiedy przy pomocy swoich sojuszników, prowadziły wojny w Afganistanie, Iraku, Libii, w pośredni sposób w Pakistanie, Jemenie czy Somalii. Efekty: państwo libijskie praktycznie przestało istnieć, Irak pogrążył się w wojnie domowej i konflikcie wyznaniowym, afgańskie władze chwieją się w posadach, w Pakistanie talibowie nigdy wcześniej nie mieli tak szerokich wpływów. Była amerykańska sekretarz stanu Condoleezza Rice uzasadniając politykę administracji Busha w regionie, mówiła w 2005 r. o „konstruktywnym chaosie” i zapowiadała, że przyszłość przyniesie triumf demokracji. Dziesięć lat później chaos ogarnął cały obszar określany przez Stany Zjednoczone jako „Wielki Środkowy Wschód”, od Pakistanu po strefę Sahelu. A pierwszą ofiarą tej utopii, w której doprawdy trudno dopatrzeć się czegoś konstruktywnego, jest miejscowa ludność.

Dziesiątki tysięcy cywilów padły ofiarą „chirurgicznych” ataków, dronów, oddziałów specjalnych, arbitralnych aresztowań, tortur prowadzonych pod czujnym okiem doradców z Central Intelligence Agency (CIA). Nie oszczędzano niczego, ani orszaków weselnych, ani uroczystości związanych z narodzinami, ani konduktów pogrzebowych ostrzelanych w „chirurgicznych” atakach. Dziennikarz Tom Engelhardt ujawniał, że w latach 2001-2013 w Iraku i Jemenie ostrzelano 8 ceremonii zaślubin [6]. Kiedy mówi się o nich na Zachodzie – co nie zdarza się często – ofiary te nie mają twarzy ani tożsamości, są anonimowe, „uboczne”. A przecież każda z nich miała rodzinę, braci, siostry, rodziców. Czy można się dziwić, że ich przeżycia napędzają rosnącą nienawiść do Stanów Zjednoczonych i Zachodu? Czy można sobie wyobrazić byłego prezydenta Busha postawionego przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym za najazd i zniszczenie Iraku? Te nigdy nie ukarane zbrodnie są argumentem zasilającym najbardziej ekstremistyczny dyskurs w regionie.

Określając wroga jako „egzystencjalne zagrożenie”, sprowadzając go do „islamofaszyzmu”, jak zrobił to premier Manuel Valls, mówiąc o III wojnie światowej przeciwko temu nowemu totalitaryzmowi będącemu spadkobiercą faszyzmu i komunizmu, Zachód daje al-Kaidzie i OPI widzialność, rozgłos i rangę porównywalną z ZSRR i nazistowskimi Niemcami. Sztucznie zwiększa jego prestiż i atrakcyjność w oczach tych, którzy chcą sprzeciwić się porządkom narzuconym przez obce wojska.

GDYBY ISLAMU NIE BYŁO...

Niektórzy amerykańscy przywódcy mają przebłąski świadomości. W październiku 2014 r. sekretarz stanu John Kerry, obchodząc z amerykańskimi muzułmanami święto ofiarowania, oświadczył, wspominając swoje podróże po regionie i rozmowy dotyczące OPI: „Wszyscy przywódcy spontanicznie przywoływali konieczność podejmowania prób osiągnięcia pokoju między Izraelem a Palestyńczykami, ponieważ [brak pokoju] sprzyja rekrutacji [prowadzonej przez OPI], rodzi gniew i powoduje demonstracje

uliczne, na które przywódcy muszą w jakiś sposób odpowiedzieć. Trzeba zrozumieć powiązanie tej sprawy z upokorzeniem i utratą godności” [7].

Czyżby zatem istniał jakiś związek między „terroryzmem” a Palestyną? Między zniszczeniem Iraku a ofensywą OPI? Między „chirurgicznymi” zabójstwami a nienawiścią do Zachodu? Między zamachem w tunezyjskim muzeum Bardo, rozbiciem Libii i nędzą pozostawionych samym sobie regionów Tunezji mających – wbrew rozsądkowi – nadzieję na otrzymanie w końcu jakiegokolwiek znaczącej pomocy gospodarczej, która nie będzie uwarunkowana stałymi zaleceniami Międzynarodowego Funduszu Walutowego rodzącymi niesprawiedliwość i rewolty?

Były pracownik CIA i doskonały specjalista od spraw islamu Graham Fuller opublikował niedawno książkę zatytułowaną „A World Without Islam” („Świat bez islamu”), której główną konkluzję streszcza następującymi słowami: „Nawet gdyby nie było religii nazwanej islamem, gdyby nie było proroka Mahometa, to obecne relacje między Zachodem a Bliskim Wschodem pozostawałyby niezmiennione. To może wydawać się nieracjonalne, jednak wydobywa na światło dzienne najważniejszy punkt: poza islamem i religią istnieje 12 wystarczających powodów, które sprawiają, że stosunki między Zachodem a Bliskim Wschodem są fatalne [...]: krucjaty (zachodnia przygoda gospodarcza, społeczna i geopolityczna), imperializm, kolonializm, kontrola Zachodu nad energetycznymi zasobami Bliskiego Wschodu, osadzenie prozachodnich dyktatur, niekończące się polityczne i wojskowe ingerencje Zachodu, zmienione granice, utworzenie przez Zachód Państwa Izrael, amerykańskie inwazje i wojny, nieobiektywna i niezmienna polityka amerykańska w odniesieniu do kwestii palestyńskiej, itd. Żadna z tych kwestii nie ma najmniejszego związku z islamem. To prawda, reakcje w regionie są w coraz większym stopniu wyrażane w kontekście religijnym i kulturowym, to znaczy islamskim i muzułmańskim. To nie wydaje się zaskakujące. W każdym wielkim starciu ludzie starają się bronić swojej sprawy, uciekając się do najwyższych ideałów

moralnych. Robili to tak samo chrześcijańscy krzyżowcy, jak i komuniści z ich walką o międzynarodowy proletariatus” [8].

Nawet jeśli trzeba niepokoić się przesiąkniętymi nienawiścią wystąpieniami niektórych radykalnych kaznodziejów muzułmańskich, to reforma islamu zależy od odpowiedzialności wierzących. Zmiana zachodniej polityki, która od kilkadziesiąt lat sieje chaos i nienawiść, przyniesie nam odczuwalne skutki. Możemy spokojnie zlekceważyć porady wszystkich ekspertów od „walki z terroryzmem”. Od 30 lat największym posłuchem cieszy się w Waszyngtonie nie kto inny, jak izraelski premier Benjamin Netanjahu, którego książka „How the West Can Win” [9] usiłuje wyjaśnić, w jaki sposób można „skończyć z terroryzmem” [10]; stała się ona brewiarzem nowych krzyżowców. Te porady pchają ku „wojnie cywilizacji” i pogrążają region w chaosie, z którego – jak wszystko wskazuje – niełatwo mu będzie się wydostać.

Autorstwo: Alain Gresh

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] Patrz Jack Moore, „US omits Iran and Hezbollah from terror threat list”, „Newsweek”, Nowy Jork, 16 marca 2015.

[2] Uri Avnery, „Who are the terrorists?”, artykuł ukazał się w „Haolam Hazeh” 9 maja 1979 i został przedrukowany w „Journal of Palestine Studies”, Bejrut, jesień 1979.

[3] Patrz „Regards sud-africains sur la Palestine”, „Le Monde diplomatique”, sierpień 2009.

[4] Por. Gray Matter, „Where terrorism research goes wrong”, „International New York Times”, 6 marca 2015.

[5] Associated Press, 10 lutego 2015.

[6] Tom Engelhardt, „Washington’s wedding album from hell”,

Tom Dispatch, 20 grudnia 2013, www.tomdispatch.com/blog.

[7] Joseph Klein, „Kerry blames Israel for ISIS recruitment”, 23 października 2014, www.frontpagemag.com

[8] Graham E. Fuller, „Yes, it is islamic extremism – But why?”, 22 lutego 2015, grahamefuller.com.

[9] „Farrar, Straus and Giroux”, Nowy Jork 1986.

[10] Benyamin Netanyahu, „Paix et sécurité. Pour en finir avec le terrorisme”, L'Archipel, Paryż 1996.